

Krzysztof

30 czerwca, sobota rano

13:05

– Śpisz? Jak możesz spać o tej porze?

Otworzyłem oczy.

To, co zobaczyłem, sprawiło, że instynktownie naciągnąłem kołdrę na krocze. Miałem w bokserkach taki namiot, że mogło się pod nim przespać stado harcerek.

– Mamo??? – zachrypiałem z wyrzutem.

– Pół nocy łązi nie wiadomo gdzie, a później śpi do pierwszej – zagderała moja matka, po czym schyliła się, aby pozbiierać jeansy oraz walniętą na podłogę koszulkę z napisem PLNY. Złożyła wszystko starannie w kostkę.

– Mamo, co mama tu robi? – zachrypiałem powtórnie.

– Jak to co? – zdziwiła się matka. Trzydziesty czerwca jest. Twoje urodziny. Twoje trzydzieste urodziny, synku!!! Pamiętam jak dziś! O trzynastej dziesiąt byłam w szpitalu, twojego ojca jak zawsze nie było, nie spieszyło ci się na świat, synku, nie spieszyło. Dziewięć godzin to trwało, a twoja matka chciała cię urodzić naturalnie. Czekaj, życzenia gdzieś mam dla ciebie. – Zaczęła grzebać w torebce. – Gdzie ja to mam? O, właśnie. – Wyciągnęła lekko pogniecioną kartkę i zaczęła recytować. Z patosem. – „Obyś nigdy nie zboczył z drogi do celu, SYNU, który sobie wybrałeś. Obyś, SYNU, umiał z podniesioną głową stawiać czoła przeciwnościom losu. Obyś był zawsze dobry, serdeczny, silny, wytrwały i odważny. Obyś, SYNU, nigdy nie zwątpił w siebie, swoich przyjaciół ani nas,

Twoich kochających rodziców”. Na ojca lepiej nie licz. – Machnęła ręką.

Akcent był postawiony na SYNU.

– Prawda, że ładne? – zapytała.

Chrząknąłem zakłopotany.

Moja matka mnie żenuje. Nie jestem jedyny, wiem. Ale dlaczego rodzice, do chuja, nie mogą zachowywać się normalnie?

Ja wiem, że ona ma dobre intencje. Ale no, bez przesady.

Zresztą czym się tutaj podniecać? Wyciągają cię z ciepłego, mokrego, miłego miejsca, a jeśli od razu nie wrzeszczysz, widząc, co cię czeka, to jest klaps w dupę, żebyś zaczął. Więc zacznasz krzyczeć i wiozą cię chuj wie gdzie na specjalnym wózku. I w tym momencie już na stówę wiesz, że masz przejebane.

Zgodnie z podaniem rodzinnym zostałem spółdzony w akademiku na Kicu.

Akademik składał się dwóch budynków. Z prawej stał Dom Chłopa, z lewej Ubab. Jeden był zamieszkały przez studentów, drugi przez studentki.

Według ojca (czyli nazwijmy sprawę po imieniu: łysego chuja – ksywka od fizjonomii i zachowań) to w Kicu wprowadzono na czwarte piętro konia, to w Kicu ścigano się po schodach w szufladach na pościel wyjętych spod łóżek, czyli w tak zwanych czołgach, wreszcie to w Kicu ulubioną rozrywką było pryskanie się gaśnicami na korytarzach.

Jak widać ojciec wyjął również swoją gaśnicę. Jak w takich warunkach mogło wyrosnąć ze mnie coś normalnego – nie mam pojęcia.

– Jaaaa, zajebiste – skomentowałem kłamliwie. – Dziękuję, mamu. Ale gdzie mama dorwała te życzenia?

– Jak to gdzie? W internecie. – Matka zdziwiła się podwójnie – za siebie i za mnie – że mogę zadawać takie głupie

pytania. – W internecie, synek, jest wszystko! To ty o tym nie wiesz? Zupę ci przywiozłam. Twoją ulubioną. Pomidorową. Wczoraj z rosółu zrobiłam. Specjalnie dla ciebie – zaakcentowała.

Moja matka nic o mnie nie wie.

Jest przystojną kobietą o długich, starannie pofarbowanych blond włosach, opadających falami na ramiona. To ślady przeszłości. Kiedyś była bardzo ładna.

Oczy miała lekko podpuchnięte, widać była po dyżurze (moja matka zawsze była przed jakimś dyżurem albo po dyżurze), usta pomalowała na ciemnoczerwono, do tego czarne rurki, a na wszystko narzuciła jakąś dziwną jasną tunikę z dużym wycięciem, spod niej wylaniał się złoty krzyż na solidnym, równie złotym łańcuszku.

Im moja matka była starsza, tym bardziej peron z tym katolicyzmem jej odjeżdżał. Na Facebooku ostatnio polubiła Wojciecha Cejrowskiego. Jak dla mnie upadek.

Tłumaczy ją tylko tyle, że musiała przez jakieś dwie dekady wytrzymać z moim ojcem. To musiało na tyle obciążyć psychikę, aby tłumaczyć takie załamania psychiczne, jak zwrócenie się ku religii.

Matka skończyła proces pospiesznego porządkowania podłogi w sypialni, odniosła do kuchni trzy brudne talerze i dwa kubki oraz pustą butelkę po coli.

– Kupiłam ci jajka – pochwaliła się. – Bardzo dobre jajka. Ekologiczne. Trzy złote za sztukę, ale bardzo dobre.

– Trzy złote za sztukę? – zdziwiłem się. – Super, będę robił jajecznicę z jajek Fabergé.

– Krzysztofie! Jak ty się zachowujesz? Nie tak cię wychowałam! – zaprotestowała.

– Przepraszam, mamó. Dziękuję za jajka, mamó – wymamrotałem przeproszająco.

– Lepiej – pochwaliła. – Co robiłeś wczoraj?

W *Wiedźmina* grałem, mam. W dodatek: *Krew i wino*.

– Głowa mnie boli – mówię.

– Tak to głowa go boli, a jak kolega dzwoni, to zaraz leci.

Wstawaj z tego łóżka! Masz zamiar przespać cały dzień?

Wziąłem telefon do ręki. Trzynasta pięć.

Kurwa, ja pierdolę, jak późno.

– O, proszę. Jeszcze dobrze oczu nie otworzy, a już telefon bierze do ręki. Gdy ja byłam w twoim wieku, nie było takich rzeczy – gderała. – Telefon był u sąsiadki.

Ja miałem cięższe życie. Jestem z pokolenia, które musiało nacisnąć klawisz w telefonie cztery razy, żeby na ekranie pojawiło się „ś”

Usiadłem na łóżku. Czarne kropki zaczęły mi latać przed oczami.

Zemdliło mnie.

– Tak, wiem, mam, za twoich czasów w kiblu się srało, a nie zdjęcia robiło. I na końcu zdania stawiało kropkę – powiedziałem, walcząc z nudnościami. Wnętrznosci podjechały mi do góry.

Jeśli puścisz bełta, będziesz musiał tłumaczyć matce dlaczego. Nie chcesz tego robić.

– Nie bądź bezczelny – fuknęła. – Ciekawe, czy twoi koledzy też się tak do matki odnoszą. Za moich czasów dzieci odnosiły się do rodziców z szacunkiem – zagderała.

– Ja jeszcze nie dożyłem moich czasów. – To już było cicho.

Czeka mnie praca do śmierci, bo nie będzie żadnych emerytur, środowisko jest zjebane, w miastach smog, a kobiety posrało. A ona mi mówi, że wszystkie moje problemy wynikają z tego, że za często używam telefonu i gram na konsoli.

Przecież miało być inaczej.

– Miało być inaczej – mówię na głos.

– Co mówiłeś? – pyta matka i wychyla się z kuchni.

– Chce mi się pić! – krzyczę.

Chcę tylko napić się wody, niczego innego nie pragnę, może poza tym, aby ktoś (kobieta) zrobił mi loda.

Brak perspektyw w tej drugiej dziedzinie skłonił mnie do wstania z łóżka skoro świt, czyli o trzynastej pięć.

Poczłapałem ciężko do kuchni, postanawiając jednocześnie, że jak wyjdzie, włączę komputer i zwałę do filmu z Sashą Grey czy Jenną Haze. Internet w tym zakresie okazywał się aż nadto pomocny. To znaczy może nie „do filmu” – zreflektowałem się – wystarczą mi jakieś cztery minuty.

Dzięki pornhubowi kobiety jako takie stawały się zbędne. Zajmowały za dużo czasu.

Schyliłem się pod kran i zacząłem z niego chleptać wodę, udając, że nie widzę piorunującego spojrzenia matki.

– Co będziesz dzisiaj robił? – zapytała.

– No nic – wyznałem i wytarłem usta. – Sobota przecież jest.

Matka zaczęła wyjmować jakieś plastikowe pudełka i słoiki z wielkiej zielonej torby z logo Kerfa stojącej na kuchennym stole.

– Jedzenie ci przywiozłam – powiedziała. – Pomidorowa, krupnik, ogórkowa. I kotlety z kurczaka. Kotlety zamroź, to zjesz później. Zresztą od razu wstawię ci do lodówki.

Otworzyła lodówkę i lekko ją przytknęła.

Zajrzałem jej przez ramię.

No dobra. Może półki były nieco brudne i brakowało tu jeszcze kurwy i krokodyła, ale to nie powód, żeby robić kocią mordę.

– Co to jest? – Matka wzięła oddech i wyglądała, jakby się zapowietrzyła.

– KFC. I KFC – odpowiedziałem, bagatelizując sprawę. – A to – wskazałem styropianowe opakowanie – jest hindus, koło pracy. Bardzo dobrze piecze na wyjściu. To takie przymarznięte do ścianki to chyba McDonald's. – Wsadziłem rękę do lodówki

i oderwałem od ściany kawałek kartonu. – Tak, to zdecydowanie McDonald's. La Big Mac.

– La Big Mac? – zasyczała.

– Jestem tradycjonalistą – wyznałem. – Big Mac i kura z KFC to smaki mojego dzieciństwa.

Oprócz resztek ze śmietnika w lodówce była jeszcze butelka coli i jedno piwo. Przez moment chciałem po nie sięgnąć, ale spojrzałem na kamienną minę matki i zmieniłem zdanie. Wyjąłem z lodówki colę. Nalałem do szklanki, dołożyłem do tego dwie tabletki saridonu na ból głowy z apteczki.

Usiadłem ciężko na drewnianym kuchennym stołku i popiłem tabletki colą.

Odbiło mi się.

Chrząknąłem.

Normalnie bym splunął do zlewu.

Normalnie podrapałbym się po jajach.

Ale teraz się powstrzymałem.

Matka wyrzuciła resztki z mojej lodówki do kosza na śmieci. Teraz miała w ręku mokre chusteczki do czyszczenia kuchni. Metodycznie przecierała nimi półki w lodówce.

– Gdyby nie ja, tobyś brudem pod sufit obrósł – zamamrotała.

– To akurat możliwe – zgodziłem się.

Uczciwie mówiąc, dziewięćdziesiąt dziewięć procent rzeczy, które mówiła mi matka w dzieciństwie, było prawdą. Muszę jej to kiedyś powiedzieć. „Rób, jak mamusia mówi, a nie tak, jak robi”.

– Prezent rozpakowałeś? – zapytała. – Położyłam ci na szafce nocnej.

Westchnąłem głucho w duchu. Moja matka nie była dobra w prezentach. Dostawałem od niej skarpetki. Swetry. Koszule. Jeszcze trochę skarpetek. Dwieście sześćdziesiąt krawatów.

Na dwudzieste dziewiąte urodziny dostałem od niej dywan. Kupiła go na jakiejś likwidacji sklepu. Dywan był turecki. Niebieski. Położyłem go w salonie przed telewizorem. Plus dziesięć do gangsterki.

Choć muszę przyznać, że bywają gorsze przypadki prezentów. Kiedyś kumpela z pracy, Ulka, dostała od swojego faceta ręcznie robioną bransoletkę. Okazało się, że zrobiła ją laska, z którą ją zdradzał. Bransoletka była ponoć całkiem ładna.

Poszedłem do sypialni, minąłem materac, na którym spałem (stanowczo za twardy, ale matka troszczyła się o mój kręgosłup), znalazłem różową (!!!) małą kopertę, po czym wróciłem do kuchni.

Patrzyła na mnie dumna i drżąca.

Otworzyłem kopertę. W środku była karta papieru z logo znanego centrum medycznego, gdzie matka dorabiała i pakiet z napisem „Mężczyzna 30 plus”. Zaczynało się to od: „Mając 30 lat, nie wolno zapominać o swoim zdrowiu...”

Odbiło mi się niezdrowo.

Zacząłem się na gorąco zastanawiać, co powinienem powiedzieć w takiej sytuacji.

– Dziękuję, ale co to jest? – stęknąłem.

– Skierowanie na całościowe badania lekarskie – wyjaśniła radosna niczym skowronek. – Wszystko jest już opłacone. Zdrowie jest najważniejsze. Nawet tata powiedział, że to dobry pomysł, choć trochę się śmiał, ale to idiota. – Machnęła lekceważąco ręką. – Nie przejmuj się nim.

Śmiał się? Chyba chciałaś powiedzieć, że zdychał ze śmiechu.

– Prawda, że ci się podoba?

Spojrzałem jeszcze raz na kartkę. Badania okulistyczne. Ciśnienie krwi. Morfologia, glukoza, elektrolity, EKG, gastroscopia...

– Gastroskopia????!!! Mamo!!! Chcesz mnie zabić??? Co ja ci takiego zrobiłem? Mogłaś mnie uprzedzić, tobym przeprosił – stęknąłem.

– Nie denerwuj się, kochanie, to profilaktyka. – Matka poklepała mnie uspokajająco po ramieniu. – Do cioci Joli... Pamiętasz ciocię Jolę, prawda, kochanie? To ta, od której dostałeś ten wazon do kuchni, kazała cię pozdrowić, swoją drogą. To do cioci Joli przyszedł taki trzydziestoletni chłopak. Miły ponoć bardzo. Żonę ma, dziecko ma, brzuch go tylko od czasu do czasu bolał. I widzisz, ona mu zrobiła gastroskopię i kolonoskopię i okazało się, że ma raka żołądka. I tak rozmawialiśmy o tym długo, że warto się badać. Bo ten chłopak się zjawił trochę za późno. I chyba, niestety, nic już się z tym nie da zrobić.

Zajrzałem jeszcze raz w kartkę. Badanie słuchu. Per rectum. Cholesterol i trójglicerydy...

Wzrok wrócił mi do poprzedniej linijki.

Per rectum?

PER RECTUM!!!

– PER RECTUM?! – wrzasnąłem.

– Nie podnoś głosu, synku – obruszyła się matka. – Zresztą nie rozumiem, o co ci chodzi. Badanie prostaty po trzydziestym roku życia to obowiązek – powiedziała bardzo powoli, akcentując wyraźnie każde słowo, choć jej wzrok uciekł gdzieś w bok. – Biorąc pod uwagę to, jak penis kieruje twoim ojcem, podejrzewam, że znajdujesz się w grupie ryzyka chorób gruczołu krokowego.

– PER RECTUM!!! – wrzasnąłem. – ONI MI TAM WSADZĄ PALEC W DUPE!!!

– Nie dramatyzuj – Lekceważąco machnęła dłonią. – To nie boli, a niektórzy mężczyźni wkładają tam inne rzeczy, i to dla przyjemności. Mam nadzieję, że jądra sobie samodzielnie badasz przynajmniej raz w miesiącu???

– Mamo!!! – zawyłem z oburzenia.

– No, jesteś już dorosły, chyba mogę przy tobie użyć słowa jądra, nieprawdaż? Pamiętaj, że trzydzieści lat temu o tej porze po raz pierwszy zmieniałam ci pieluchy... – zaczęła, ale na widok mojej miny zakręciła Titanikiem. – Twój ojciec zresztą mówił, żebyś na per rectum przyszedł jednak do niego do szpitala, bo on ma jakiegoś ultradobrego specjalistę w tej dziedzinie. Który zrobi to tak, że będziesz bardzo zadowolony.

Ja muszę już uciekać. – Zerknęła na zegarek. – Mam dyżur w przychodni. Ale nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze.

Wcale nie będzie, pomyślałem, ale jak zwykle nie miałem pomysłu, co dalej.

13:30

Stałem, pochylony do przodu, kompletnie nagi, nad kibelem i czułem, że jestem blisko.

Jeszcze trzy, cztery mocne pociągnięcia i będzie dobrze. I będzie miło. I świat będzie wyglądał trochę inaczej.

Podniosłem do góry ręce niczym kapłan odprawiający mszę. Niczym apologeta, niczym Thor przed swoimi wyznawcami.

Czesałem się.

Stop.

Czasownik czesać się nie oddawał w pełni tej skomplikowanej czynności. Na początek umyłem głowę, bo włosy zaraz po umyciu są najbardziej miękkie i podatne na układanie.

Wtedy zaczynam je suszyć, tak do momentu, kiedy przestają być mokre, a zaczynają być wilgotne.

Moja suszarka to BaByliss Pro Caruso o mocy 2400 watów, co brzmi jak S63 AMG coupe V8 biturbo, przy czym na suszarkę mnie stać, a na mercedesa S63 już nie.

Na takiego mercedesa nie stać nawet mojego ojca.

Dobrze mu tak, chujowi.

Zacząłem od boków głowy, używając wąskiej nakładki. Włosy miały stać, przężyć się dumnie niczym Rocco Siffredi w *Rocco Invades Poland*, jak współczesniona wersja irokeza.

Fryzura, która mówiła, że jej właściciel spojrział na włosy w trakcie mycia zębów, przecesał obojętnie ręką, a one ułożyły się swobodnie oraz naturalnie.

Kobiety za coś takiego płacą fryzjerom miliony kruczejros. Na szczęście miałem dobry patent. Włosy, zanim wyschły, musiały być już wstępnie ułożone.

Roztarłem w dłoniach wosk marki Uppercut (w zielonym opakowaniu, pozostałe były albo za słabe, albo za mocne) i zacząłem go wmasowywać we włosy, cały czas zaczesując je do tyłu.

W ten sposób każdy z osobna miał dostać swoją porcję. I teraz trzy, cztery precyzyjne ruchy grzebieniem, tak aby w tym chaosie zaprowadzić porządek.

Przyjrzałem się sobie krytycznie w lustrze.

Kłata jak zwykle była za bardzo wklęsła, ramiona za cienkie, ale z tym, przynajmniej na razie, nic nie dało się zrobić.

Włosy na szczęście dodawały mi ze trzy centymetry. No, może nawet trzy i pół.

Kiedyś widziałem mem, w którym mężczyzna zaczynał się od stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu. Sto siedemdziesiąt trzy centymetry oznaczały, że wysokie laski były dla niego niedostępne. Sto siedemdziesiąt pięć był to prawie ziomek. Optymalny wzrost startował zaś od stu siedemdziesięciu ośmiu centymetrów, a kończył się na stu osiemdziesięciu ośmiu. Powyżej tej granicy było się już za wysokim.

Miałem sto siedemdziesiąt cztery centymetry wzrostu. KURWA. Dlaczego mój ojciec nie mógł mnie raz w życiu obdarować czymś przydatnym?

Dlaczego jego pierdolony plemnik nie mógł zawierać w sobie jakiegoś kryptonitu, który dodałby mi jakieś dziesięć – no, nie bądźmy zachłanni – sześć centymetrów?

Czyż 180 centymetrów nie brzmi dumnie? Czyż nie jest to wzrost, który sprawia, że kobiety patrzą na ciebie zupełnie inaczej?

Wyszedłem z łazienki i skierowałem się do kuchni łączonej z salonem. W salonie stały dwie kanapy, telewizor i trzy konsole: Xbox, PS3 i PS4 oraz pięćdziesięciopięciocalowy telewizor marki LG, prezent od matki na parapetówkę.

Przy telewizorze dwie kolumny Kekkoh Beta oraz wzmacniacz Technicsa, które kupiłem w lumpeksie ze sprzętem grającym. Jedno i drugie było starsze ode mnie albo przynajmniej tak samo stare.

Słuchałem przez nie muzyki na Spotify (zaleta odbiornika Bluetooth wpiętego w wejście audio line in).

W pokoju stała jeszcze szafka, w której trzymałem sto dwadzieścia osiem gier, z czego większość na „peesa”, i trochę filmów na Blu-rayu, na czele z *Pulp Fiction*.

I najważniejsze – moja kolekcja Lego na czele z jej ozdobą, Gwiazdą Śmierci, składającą się z 4016 elementów (przyznaję, matkę było dość ciężko przekonać, aby zapłaciła za to dwa tysiące trzysta złotych) oraz VW Transporterem (łatwizna, tylko 1332 klocki).

Wlałem zupę do gara. Płytę elektryczną ustawiłem na osiem. Ze ściany łynął na mnie Han Solo z *Return of the Jedi*. Hasłem *Gwiezdnych wojen* jest: „Niech Moc będzie z tobą”. Powiem szczerze, ostatnie części miały równie dużo mocy co piosenki Sylwii Grzeszczak.

Za to czwórka, piątka i szóstka to przynajmniej solidna historia o facecie, który nie może się dogadać z synem.

Oprócz salonu w mieszkaniu były jeszcze dwa pokoje. Sypialnia, no i ten drugi, na który na razie nie miałem pomysłu.

Zrobiłem więc tam na razie swoją halę porażki.

W czarnych workach na śmieci umieściłem książki z liceum i ze studiów, deskę snowboardową, na której jeździłem przez tydzień w roku, dwie pary rolek, bo kiedyś wydawało mi się, że chcę uczyć się trików, ale po miesiącu wypadło mi coś innego, gitarę elektryczną oraz piecyk (zrezygnowałem po trzech miesiącach, ale poznałem trzy podstawowe akordy e-moll, E-dur, a-moll. Dzięki tej wiedzy mogłem od tej pory zagrać na przykład piosenkę Kultu *Gdy nie ma dzieci*. Głównie dlatego, że w całości składa się z dwóch granych na przemian akordów.

Do tego buty do biegania, buty na siłownię (nie żeby jedno i drugie były mi jakoś szczególnie potrzebne), kolarkę (pomysł sprzed dwóch lat; długodystansowe jeżdżenie na rowerze było jednak zbyt męczące i człowiek się od tego strasznie pocił).

W końcu matce zależało, żebym się rozwijał i miał zainteresowania.

A dzieci, jak powszechnie wiadomo, potrzebują kursów hiszpańskiego i butów Nike. Tabletów, wyjazdów na zielone szkoły, mocnych komputerów, na których pójdą nowe gry, smartfonów i zajęć dodatkowych. Przede wszystkim zajęć dodatkowych. Jeśli rodziców stać na to, aby dzieci uczyły się francuskiego i hiszpańskiego, to wszystko jest w porządku. Jeśli będą grały na fortepianie – także, Dżesika z chowu klatkowego i Brajanek z wolnego wybiegu.

Edukacja w naszych czasach jest jak Jezus Chrystus i Budda. Jest święta. Jak alkohol dla alkoholika. Jak kokaina w koedukacyjnym kiblu w klubie. Kokaina, którą wszyscy ciągną i wszyscy wierzą, że załatwi ich problemy.

Dajcie mi dowolne hobby i kurs w tym mieście – na pewno na nim byłem.

Tańczyłem, chodziłem na karate kyokushin, angielski, niemiecki, zajęcia lepienia z gliny (nie żartuję), kółko teatralne oraz basen. Miałem też sporą kolekcję dyplomów i plastikowych pucharów za wszelkiego rodzaju ogóry, w których brałem udział.

Zdecydowana większość była z napisem: „Za uczestnictwo w XXV zawodach grupy czwartej”.

Zupa zaczęła bulgotać. Wyłączyłem płytę. Garnek postawiłem na stole z Ikei, który odgradzał salon od kuchni. Z szuflady wyjąłem łyżkę. Talerze miały to do siebie, że trzeba je było wstać do zmywarki.

Usiadłem i zacząłem jeść. Trzeba przyznać mojej matce, że pomidorówkę to ona robiła wyjebaną w kosmos.

Mieszkanie znajdowało się rzut beretem od skweru Dobrego Maharadży na warszawskiej Ochocie. Miało siedemdziesiąt dwa metry kwadratowe i było w całości krwawicą mojej matki.

Efektem wielogodzinnych sesji przyjmowania pacjentów w prywatnych klinikach, gdzie przychodzili ludzie z abonamentami wykupowanymi za ciężki hajs przez ich korpo.

„Doskonałe rozwiązanie dla osób ceniących sobie ciche, spokojne lokalizacje. Idealne mieszkania w idealnej cenie”.

Mieszkanie miało być – według mojej matki – symbolem rozpoczęcia przeze mnie nowego dorosłego życia, w którym wyprowadzam się z domu, znajduję kobietę, ona wprowadza się do mnie i mamy jakiegoś rozkosznego bobasa (najlepiej dziewczynkę).

Matka zapłaciła za nie gotówką. Była z siebie bardzo dumna. Macierzyństwo w polskiej wersji: na początek wychodzi przez łono dziecko, a dwadzieścia kilka lat później drugim otworem wychodzi mieszkanie.

Własna chałupa miała, owszem, spore plusy, ale miało je również mieszkanie z matką. Co by nie mówić, mieszkając z nią, nie musiałem się martwić o żarcie i pranie.

Garnek wstawiłem do zlewu.

Z lodówki wyjąłem piwo. Włączyłem telewizor i konsolę, do ręki wzięłem pada. Otworzyłem piwo z głośnym sykiem i odpaliłem GTA V.

Urodziny nie urodziny, dzień jak co dzień. O co tyle szumu? – wzruszyłem ramionami.